

Bajarka opowiada

O LUDKACH BIEDOROBACH

Żył w jednej wiosce chłop, który był taki biedny, że nieraz głodował z żoną i z dziećmi, chociaż trudził się od rana do wieczora.

Jakoś mu się nie wiodło i nie mógł się z biedy wyplątać. Tak jak ryba, co rzuca się w sieci i rzuca, a wyjścia nie ma.

— Co to się dzieje — mówił do żony. — Inni mają czas przespać się i odpocząć w niedzielę. Jadła im nigdy nie brakuje. A ja, sama widzisz, pracuję do siódmego potu i nic z tego nie wychodzi.

— Wiesz co — powiada żona — jeszcze moja babka mi mówiła, że są na świecie takie maleńkie ludki biedoroby, co jak się u kogo zagnieżdżą, to ostatnią koszulę ściągną mu z grzbietu. Ani kropli mleka, ani jednego jajka, ani skibki chleba mu nie zostawią. Widać u nas gdziesik takie biedoroby zalazły w jaką szparę i chcą nas zamorzyć.

Chłop podrapał się w głowę.

— Może to być. Ale jak je wypatrzeć? I jak je wygnać z chałupy?

— Przyważmy pilnie, może je zdybiemy — mówi żona. — Bo że są u nas takie biedoroby, to pewne. Posadziłam w sadku kapustę, to mi ją zaraz zryły świnie sąsiada. Bieliłam płótno na łące, to mi je ktoś ukradł. Dlaczego każdą biedę coś nagna zawsze prosto na nas? Nawet dym od jakiegoś czasu nie idzie u nas do komina, tylko się wraca na izbę. Wszystko na złość.

Wystarał się raz ten chłop o bochenek chleba i kawałek słoniny na niedzielę. Przyniósł je dzieciom i z tej radości zaczął im przygrywać na skrzypkach.

A muzykant był z niego nie lada. Za lepszych czasów ho! ho! jak to on umiał wygrywać! Nikt tak nie potrafił w całej okolicy. Ale z tej biedy odechciało się nieborakowi grać i skrzypki ze smyczkiem wisały na kołku nieme.

Teraz, kiedy zagrał po wieczerzy, dzieci najedzone zeskoczyły z ławy, wzięły się wesoło pod boki i dalej w taniec.

Tańczą, przytupują... wtem ojciec patrzy: kto to z jego dziećmi tańczy? Powyłaziły skądś stwory-niestwory, ręce mają długie jak pajęczne nóżki, szyje cienkie, pyszczki gładkie i złośliwe. A tyle ich się wyroiło i tak się kręcą, że ich nikt nie zliczy.

Domyślił się biedak, że to właśnie te ludki biedoroby, o których żona opowiadała. Przestał grać i wypatrywał, co też one zrobią, dokąd pójdą.

A psoty niecnoty zakręciły się, zakotłowały i popychając jedne drugie uciekły pod piec niby robactwo jakie.

„Ehe! kiedy już wiem, gdzie mieszkacie, to się was jakoś pozbędę, niedojady!”, pomyślał chłop.

Doczekał się, aż dzieci posnęły, usiadł przy piecu i pyta półgłosem:

— Ludki, a może wam ciasno, może wam źle pod piecem?

— Nie, wcale nam nie ciasno — piszczał ludki biedoroby.

— Dobrze nam tu, wygodnie. Zmieściliśmy się wszystkie.

Chłop wyciągnął rożek od tytoniu i pyta dalej:

— A w ten rożek byście się zmieścili?

— Oho, jeszcze jak! — odpowiadają.

— Chciałbym to zobaczyć, pokażcie — mówi chłop i podtyka rożek pod piec. — No, i gdzież jesteście? Jeszcze pod piecem?

Cienkie głosiki odpowiadają:

— Tu! Tu! Jesteśmy już wszystkie w twoim rożku i zmieściliśmy się.

— Wszystkie? Pod piecem nie został ani jeden?

— Ani jeden. Wszystkie tu jesteśmy. Wszystkie!

Chłop tylko na to czekał. Zamknął mocno pokrywkę, poszedł do opuszczonego młyna i wsunął rożek pod ciężki kamień młyński.

— Siedźcie tu do skończenia świata, nie chcę was! I wrócił do domu.

Od tego dnia wszystko mu się odmieniło, wszystko zaczęło się udawać. Pracował więcej niż inni, więc kiedy biedoroby przestały mu dokuczać, gospodarka polepszała się u niego z miesiąca na miesiąc.

Miał już i świnki, i krowę, i parę wołów, i ziarna dość aż do nowego. Obsprawił całą rodzinę, ubrani byli teraz cało i dostatnio, aż się sąsiedzi dziwili.

A był tam jeden sąsiad bogaty, najbogatszy w całej wsi, ale zazdrosny. Nie mógł się uspokoić, kiedy komuś innemu dobrze się powodziło. Chciałby zobaczyć dookoła samych nędzarzy, a on jeden, żeby miał wszystko i niechby mu się inni kłaniali. Zresztą próżniak to był i chciał żyć z gotowego. Co miał, to po rodzicach, ale sam niczego nie przyczynił.

Kiedy się ten zazdrośnik przekonał, że tamten biedak przestał być biedakiem i ma się nie gorzej niż on sam, wciąż go podglądał, skąd się to bierze. Ale nie odgadł przyczyny.

Poszedł raz do niego i zaczął go zagadywać to tak, to siak, żeby z niego wyciągnąć, jak to on się dorobił.

— Bo ja com miał, to i mam — powiada — a tobie wciąż coś przybywa.

— To dlatego, że pracuję od rana do nocy i nie żałuję rąk — powiedział tamten. — Ot i cała tajemnica.

— No, a przedtem mniej pracowałeś ?

— Nie, nie mniej, ale mi przeszkadzały ludki biedoroby. Rozpleniły mi się w izbie i wszystko mi psuły, do wszystkiego się mieszały. Jakem się ich pozbył, to i biedy się pozbyłem.

— Jakaś to zrobił?

— Zwabiłem je do rożka, a potem zamknąłem pokrywę mocno i wsadziłem rożek pod kamień młyński w tym opuszczonym młynie, co stoi nad wyschniętym strumieniem.

— I one tam siedzą?

— Pewno siedzą, bo nie wróciły.

— Toś sprytnie wymyślił — pochwalił bogaty sąsiad. — No, na mnie czas, zostawaj zdrów.

Pożegnał się i poszedł.

Ale poszedł nie do swojej chaty, tylko do opuszczonego młyna. Odszukał rożek pod młyńskim kamieniem i wyjął go. Otworzył pokrywę i mówi:

— No, biedoroby, wychodźcie na swobodę! Wracajcie do waszego gospodarza, stęsknił się już za wami.

Ale dziwoludki dalej piszczec:

— Nie, nie, nie chcemy do niego wracać! Boimy się go. On jest za mądry, znów wymyśli na nas jakiś sposób. Może nas całkiem wytraci. Tyś nas wybawił, zlitowałeś się nad nami, to wolimy pójść do ciebie.

— Ehehe — zakrzyknął bogacz — co mi po was? Nie chcę! Za nic nie wezmę was do mojej chaty, idźcie precz ode mnie!

Ale gdzie zaś... Psoty niecnoty opadły zazdrośnika jak rój pszczoł, tak że nie mógł się od nich opędzić. Wczepiły mu się w kaftan, we włosy, nałożyły do kieszeni i za pazuchę — nie dał rady.

Pobiegł do chaty, a one w jednej chwili zeskoczyły z niego i rozbiegły się po wszystkich kątach. Tak się dobrze pochowały, że nikt by ich nie znalazł.

Od tego dnia nic się bogaczowi nie wiodło. Bydło mu wyzdychało, konie ukradli złodzieje, na owce i świnie przyszła zaraza, zboże nie obrodziło. A na koniec spaliła mu się chata z całym obejściem.

Zazdrosny bogacz został nędzarzem.